Nro 16.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 27 lipca 1844. **Rok piąty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 13 lipca 1844.

Stroje damskie. Podług wszelkiego podobieństwa, czas kąpielowy tym świetniej zejdzie tego lata, iż mimo wielkiej liczby kąpiących się i trwałej pogody, w wielu głównych miejscach to mądre zrobiono postanowienie, że gra umiarkowana ma być jako dodatek do innych zabaw, a nie jako główne zajęcie. Tym sposobem towarzystwo kąpielowe uwolnione zostanie od znacznej liczby spekulantów; a jedynie zajęte rzeczywistym celem swego zgromadzenia się, wszystek czas słodkiemu wypoczynkowi poświęci, zamiast trawić go wokoło zdradnych zielonych stolików. Panie szczególniej zyskają na tem moralnem ulepszeniu; więcej mieć będą dbałych o nie wielbicieli, a pewną jest rzeczą, iż każda ładna kobietka mniej lub więcej cierpiąca, chętnie przyjmuje różne drobne przysługi i troskliwość o siebie.

Modystki mają więc teraz ogromnie dużo do czynienia; wszystkiemu jednak z dobrym skutkiem wydołają. Z sukień przytoczymy jako najmodniejsze, redyngociki ranne z prawdziwych angielskich płócienek, z fulardów i madrasów; suknie z gładkiemi stanikami, rękawami fałdowanemi, z spodnicą jedną tylko lecz wyżej kolan obszytą falbaną; na ręku oprócz zwykłych bransoletek noszą bardzo bransoletki ze wstążek.

Suknie jedwabne mają zwykle jakieś ubranie z przodu; jedne ubrane są guzami tego samego koloru co suknia; inne obszywane czterema rzędami korunek; staniki dość wysoko zachodzące, gładkie w ramionach, a w pasie namarszczane; przy których mała pelerynka korunkowa z klapami na przodzie, których końce przypięte są fontaziami ze wstążek.

Kanzu nieprzestaje być ulubionym i nieodzownym niemal dodatkiem do każdego stroju.

Kapelusze z włoskiej słomy, ubierane kwiatami, także z tiulu fałdowanego lub z krepy białej, są bardzo modne i stosowne do tej pory roku.

R y c i n a d z i s i e j s z a p r z e d s t a w i a: suknię z jedwabnej materii w kraty, z szeroką falbaną w zęby wybijaną; stanik gładki z podwójną bertą; rękawy podwójne półszerokie; głowa wiankiem ubrana. Druga suknia jedwabna mieniona, z dwoma szerokiemi falbanami; stanik gładki z pelerynką z tarlatany; kapelusz krepowy piórami ubrany. Trzecia suknia z bareżu gładkiego, u dołu falbanką ubrana, stanik marszczony, mantyla z tarlatany haftowana i falbaną szeroką obszyta; kapelusz jedwabny z piórem.

Stroje męskie. Po licznych wystawach i innych miejscach publicznych, dają się widzieć tużurki o jednym rzędzie guzików, których nowość w tem zależy, że mają stan dość długi i średniej szerokości. Kołnierz i klapy zą z materii morowej; rękawy są obcisłe u ramion, a tembardziej około ręki. Spodnie noszą dość przestrone które zachodzą nieco nad stopę, niezasłaniając jednak całkiem kamaszów.

Fraki noszą o dwoch rzędach guzików, w kroju ich jest to osobliwego, że klapy zakrywają piersi, poły są bez patków; wreszcie podszywają się kitajką lub inną materią jedwabną.

Kamizelki noszą z materii w paski ukośne; daje się przy nich jeden tylko rząd guzików, a kołnierz bardzo wąziutki.

R y c i n a p r z e d s t a w i a: frak od stroju; kamizelkę w ukośne pasy, tudzież surdut o jednym rzędzie guzików, klapy i kołnierz morą jedwabną wyłożony.

SZKIC Z CZASÓW KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA.

przez

ADAMA GORCZYŃSKIEGO.

Dokończenie.

W Warszawie (było to za czasów Stanisława Augusta), na ulicy S* stał okazały pałac; skrzydłami swoich pawilonów rozpierając się szeroko, zdawał się odpychać od siebie drewniane dworki przytykające do niego, a z pogardą spoglądał na kamieniczki, stojące na przeciwko jego pańskiej faciaty. Był pomieszkaniem pana kasztelana, kawalera orderów, dziedzica milionowej fortuny i milionowych długów. Szeroka, herbem ozdobna brama, roztwierała się do przysionka, rzekłbyś do świątyni pogańskiej pełnej kolumn, posągów, gdzie białe wdzięczyły się nimfy, a Herkules maczugą wywijał. Do górnych apartamentów schody podnosiły się tak niskiemi gradusami, że mógłbyś mniemać iż dla dziecinnych poustawiano je nóżek; atoli ich szerokość była takowa, iż sześciu olbrzymów w jednym szeregu po nich stąpać mogło wygodnie. Przysionek bywał oświetlony pochodniami, schody lampami, a pokoje jarzącem światłem od zmierzchu do północy, każdodziennie. Liczna tłuszcza szatnych, kamerlokajów, ułanów, kozaków, w barwach, w galonach, w pasamonach, tyjąca w próżnowaniu przedpokojowem, gotowa i skora do posługi na każde skinienie, wchodzącemu roztwierała podwoje i wprowadzała do apartamentow przybranych z całym owczesnego zbytku wykwintem, gustem, elegancią i bogactwem.

Widziałeś tam pokoje jedne przybrane w makaty drugie w gobeliny; w trzecim upstrzenie rzeźb, albo malowidła szkoły B o u c h e r a; w innych medaliony, amorki i inne godła pasterskiej miłości; a wszędzie sklnące się zwierciadła, lampiony, z sklannych paciorków pająki, alabastrowe urny, po kominach porcelanowe pasterki obok bachusów, arlekiny i janczary. Na ścianach nareszcie porozwieszane obrazy mitologiczne nader odpowiadające owczesnemu smakowi. Wchodzącego do przybytku owczesnego warszawskiego pana owiewała jakaś epikureizmu aura. Byłyto bowiem czasy w których poeci pisali satyry, Bohomolec monitorem przemawiał, czasy (że tak powiemy) arystokratycznych saturnaliów; kiedy zkytek już syty, przytępiwszy wszelkie lepsze uczucia, prowadził za sobą niesmak, że rozum ludzki wysilać się musiał do szukania nowej życia przyprawy.

Otoczywszy się wymysłami zagranicznemi, aby te przybytki przepychu ożywić, zapotrzebowano odpowiedniej temu francuzkiej rozmowy, wolterowskiej filozofii, pism i xiążek zagranicznych. Temu tedy bankietowi życia dodawała wesołości konwersacia pełna wyskoków dowcipu, allegoryi mitologicznej, zafarbowana rozpustą, nasiąknięta miazmą moralnej zarazy.

Zadziwi to może, że ten systemat życia bijący tak silnie na starożytne groble wiary ojców, rozkuwający naród z przepaski prawości, rozwiązujący obyczaje, na roskoszach i materyalnych uczuciach zatykający cel życzeń i zabiegów, tak rado przyjęty został w kraju, tak bujnie w nim się krzewił. Atoli, przyswojenie systematu jakiegobądź godzi się łatwo z epoką, w której się pojawia. Zaraza ima się ciała, usposobionego do jej przyjęcia, półwieczny gnuśny wypoczynek usposobił może naród do przyjęcia tylu szkodliwych zagranicznych chwastów.

Była godzina jedynasta wieczorna; w pałacu, w tych apartamentach sklniących, nie rozświeconych, przywykłych do gwarnego towarzystwa, było pusto. Niezwykła w tej dobie cisza rozpościerała się od jednego do drugiego końca, w długim pokojów szeregu. W ostatnim, pan tych przepychów, przybrany we frak wolterowski, w mankietkach, koronkowych kołnierzykach, ponsową wstęgą orderową przepasany, siedział, albo raczej spoczywał w ramionach miękkiego krzesła, samotny.

Czoło jego obciążone pudrowaną fryzurą, było zmarszczone, przymrużone oczy, ręka opadająca ku ziemi, twarz skrzywiona, cierpkim swoim wyrazem wydawała jakiś niesmak duszy, znużenie i nudę. Bo nuda jestto owoc, któren dojrzewa wtenczas na gałązce życia, gdy kwiat roskoszy dojdzie do swojej pełni i więdnąc woń traci. Śród zgiełku towarzystwa, smerze konwersacii, w blasku wielko-światowego życia, kasztelan bywał wesołym a niekiedy i fertycznym jak tarantula, w tenczas umysł jego napełniał swoją próżnię łakociami dowcipu, czczość serca znajdowała nową ucztę; w samotności uczuwał już przykre rozstrojenie strony życia.

Po długim wypoczynku danym ciału i myślom, kasztelan posunął rękę do dzwonka na stole leżącego, zadzwonił.

— Jaśnie pan rozkaże.

— Który tam jest?

— Wojciech, jaśnie panie.

— Która godzina? zapytał pan ziewająco.

— Jedynasta dochodzi.

— Dopiero jedynasta, niewiesz tam co?

— Niewiem jaśnie panie?

— Toś kiep. Pan Starościc nie był tu dzisiaj?

— Nie był jaśnie panie, o to pan Starościc teraz gdzie indziej wysiaduje.

— Gdzie?

— Z przeproszeniem jaśnie pana, pan Starościc ma kochankę.

— No i cóż w tem złego albo dziwnego?

— Ale to jaśnie panie, prześliczna.

— Piękna? mówisz, zapytał kasztelan ciekawie.

— Niech mnie siarczyste jaśnie panie taka piękna.

— Czyś ją widział?

— Na własne oczy, jaśnie panie.

— I piękna, mówisz?

— Ale jaśnie panie całe przyzwoita osoba.

Kasztelan zażył tabaki.

— Coś miałem mówić, (ciągnął dalej) czy niewidziałeś tam tej, jakże jej, no... o Polusię się pytam.

— Niewiem czy mam oświadczyć jaśnie panu, jej ojciec skrupulat wielki, wypędził ją z domu.

— Hm wypędził... proszę kogo... gdzie ona poszła?

— Poprowadzili ją do szpitalu, bo z aprensii na piękne zwariowała.

— Głupiś, że mnie o tem gadasz; Filipek co robi?

— Pan Filip, hi hi.

— Czego się śmiejesz? cymbale.

— Ale bo jaśnie panie, nasz karzełek taki śmieszny, dzisiaj na prawdę pocałował Justysię.

— Głupstwa bajesz, on by zaś, gdzie on jest?

— Na krześle sobie zasiadł, i spi porządnie, bo aż chrapie.

Aj, aj, lokaj krzyknął z bolu i z przestrachu i szybko się obejrzawszy obaczył poza sobą figurkę człowieczą ledwie łokieć ciała mającą. Byłto pan Filip, nadworny karzeł kasztelana, który udając śpiącego podsłuchiwał, zcicha podszedł lokaja, i uszczypnięciem w łytkę, wywarł na nim zemstę swoją.

— To ponieważ tego, mości dobrodzieju (ozwał się karzeł rozindyczony poprawiając czubka) pan kasztelan nie wezmie mi za złe, żem sobie sam mości dobrodzieju wyrządził sprawiedliwość i satysfakcię, a ty chamie żebyś mości dobrodzieju na drugi raz wiedział, że nie każdy spi, co chrapie.

Kasztelan zabierał się do ulubionych żartów z karła swojego, wtem dał się słyszeć posuwisty krok szybko idącego, i odgłos piosenki świstanej na ulubioną podówczas nutę:

Wszystko Krysiu będziesz miała,
Byleś tylko sama chciała.

Ledwie co kasztelan po chodzie i odgłosie poznał Starościca, już skakająco i spiewająco wbiegł do salonu owoczesny warszawski fircyk. *)

Pióro moje za słabe do oddania szczytnego obrazu fircyka, tylko szkic jego zakryślić, silwetkę jego postaci wykroić się poważy. Fircyk jest godnym penzla takiego malarza, jakim jest pan Au.... Wi......

Starościc chlubnie należący do bractwa fircyków warszawskich byłto młody, fertyczny, dystyngowany imieniem, głośny awanturami, po filozofsku żyjący, kawaler. Mieć francuski polor i galanterią wersalską, być trzpiotem w uczuciach, chlubić się długim rejestrem kochanek a dłuższym jeszcze wierzycieli, pierwsze i drugich zwodzić, znać na pamięć wszystkie artykuły, kodexy mody, a zapomnieć pacierza, który wyuczyła matka; przyswoić sobie wszystkie parystkie grzechy, a zaprzeć się wszelkiej polskiej cnoty, byłoto szczytem do którego dążył, który osiągnąć pragnął, każdy z owoczesnych młodzików, ambicionujący pozyskania wziętości sławy i tytułu doskonałego kawalera.

Starościc z każdego względu miał do niego najsłuszniejsze prawo.

A najprzód, ubiór jego poddawał się zawdy regułom i wymysłom mody, w Starościcu miał każdy wzór najwyższej elegancii, wykwintu i gustu.

Główka fircyka naszego cała w pierścieniach nad uszami miała swoje gołębie skrzydełka (tak nazwane), owoczesne loczki.

Fryzura swoją gąbczasto-utapetowaną, pudrem przypruszoną szopą, ciężyła nad twarzą eleganta, która choć przychudła i zwiędła, błysnęła ponsem rużu, i rozognioną bywała libacią ponczu. Wązka i ściśnięta szyjką, trzymała się głowa u ciała, które pstrokacizną swoich piórek w błąd wprowadzić mogło oko naturalisty, niewiedzącego, do którego rodzaju policzyć tego warszawskiego ptaszka.

Kusy fraczek eleganta z atłasu wycięty, połyskiwał guzami perłowej macicy, i strzępił się mnogością różnokolorowych wstążek, westka zaś z której łona sroczyły się korunki żabotek, pstrzyła się jaskrawemi kwiatami, spodnie kwitnęły zniebieska, pończochy w cztery kolory na które zawdziany krótki z węgierska wykrojony bucik świecił z przodu złotym kutasem, z obcasa śrebrną brzęczał ostrogą.

Trójgraniasty kapelusik, laseczka długości łokciowej, bonbonki w ustach, dopełniały charakterystykę fircykostwa, do której istoty należało ułożenie grymaśne, ruch ciała fertyczny, częste mruganie ócz, ton mowy nareszcie, w którym sentymentalność wersalska i trzpiotostwo, mozaikowało się miłosiernie z rubasznością krajową.

Kasztelan widocznie rozweselony z przybycia gościa, poprawił peruki i korunkowych mankietów, rzucił okiem na ponsową wstęgę, którą był przepasany i stanął w pozycii do grzecznego przyjęcia przybyłego.

— Witam cię Starościcu, sprawiasz mnie plejzir że mnie nawidzasz; widzisz jestem sam, zupełnie sam, trochę niedyspozyt.

— A ja kochany kasztelanie mdleję, ginę, umieram.

— Co znowu?

— Umieram w paroxyzmie nudów.

— Żartujesz, jako! ty! taki doskonały kawaler? śród festynów stolicy, świetności dworu, przy tylu asamblach, konesansach? czy pozwolisz sobie szklaneczkę ponczu?

— Poncz, to faworytalna osłoda mojego życia.

Kasztelan zadzwonił, i zawołał wazę ponczu.

— Zkąd powracasz starościcu, gdzie byłeś dzisiaj! coś robił! dzień cały?

— Opiszę kasztelanowi diariusz mojego życia *l'histoire de ma vie.* Żyję po filozowsku, trzymam się reguły mody. Miłość jest nauczycielką wszelkiej doskonałości; kto jej serca nie poświęcił, nie może być grzecznym kawalerem; miłość poloryzuje człowieka. *En fin* oczem to mówiłem? życie moje, to życie Amfitriona, greckiego żoka. Otoż kochany kasztelanie, (mówił fircyk głosem omdlewającym, rzucając się na kanapę) opiszę ci diariusz dnia dzisiejszego. Wstałem o 10 godzinie, napiłem się *thé,* kozakowi kazałem dać kilka plag, bo *figurez vous* przydeptał mojego *Azorka*, czuły prezencik pani podczaszyny; potem fryzowanie głowy i pogadanka z fryzierem, od jedynastej do dwunastej probowałem w jakim kolorze będzie mi do twarzy, i już uparfumowałem sobie chustkę, kiedy *imaginez vous* mój krawiec do którego po westkę posłałem, zamiast z westką, przyszedł do mnie z rejestrem, i jeszcze drogę pokazał całej hurmie rzemieślników; ja smyk drugiemi drzwiami, nie oparłem się aż....

— Gdzież poszedłeś?

— Oddałem damom trzy wizyty gotowalniane. Bo-

---

*) Fircyk w połowie XVIII wieku zrodzony, kwitnął do końca tegoż wieku. Dzisiaj istotą i nazwaniem już nie exystuję fircyk; byłto onego czasu modniś, miał wszelako tak odznaczającą i sobie właściwą cechę, iż go ani z elegantem z czasów napoleońskich, ani z dzisiejszym dandysem na równi postawić nie godzi się. Kto lepiej i bliżej z istotą fircykostwa zapoznać się pragnie, obraz jego odszuka w owoczesnych satyrach, w komediach Zabłockiego, w Bohomolcu i innych pismach rymowanych i nierymowanych, które wiek Stanisława Augusta napłodził.

ska Starościna w cukrowym była humorze, i śliczną jak bóstwo w obłoku; było nas pięciu *noble* kawalerów asystujących jej tualecie, na mnie padła miła kolej zawdziewania pierścionków na jej paluszki; *a propos*, miałem się dowiedzieć od garderobiany zkąd ona dostaje tej wódki, którą używa do konserwacii swojej płci.

— Od niej, gdzież poszedłeś mój kuzynku?

— Gdzież indziej jeśli nie do podskarbiny. Do tej czuło sentymentalnej podskarbiny; ubóstwiam ją, bo jestto niezawodna rzecz, idę zakład o sto czerwonych złotych przeciw jednego, że w całej Warszawie niema damy, któraby umiała tak pięknie, tak czule się przestraszać, jak podskarbina, bo trzeba wiedzieć są wdzięki w lękaniu się. Podskarbina ślicznie się lęka, na samo wspomnienie o kocie, dostaje spazmów, migreny, omdlewa. Dzisiaj dwa razy miałem dozwolony ten fawor trzeźwienia umierającą podskarbinę.

— Hi, hi spodziewam się (rzekł kasztelan), że umierająca z przelęknienia, mająca takiego szarmanckiego trzeźwiciela, nie umarła przecie.

— Wystaw sobie kasztelanie, omało sam nieumarłem z odurzenia, kiedy *figurez vous* za odchyleniem się gorsu, wysunęła się z ukrycia miniaturka; muszę, muszę to spenetrować, czyj to portrecik nosi na sercu.

— Hi, hi, będzie to pamiątka z ostatniego kampamentu pod Warszawą, natrącił kasztelan, gdzież byłeś na obiedzie?

— Na obiedzie u Szambelaństwa, były dzisiaj paszteciki, cale nowej inwencii; dobrego mają kucharza, wypada im go odmówić, chcesz kasztelanie podejmię się tego?

— Gdzież przepędziłeś wieczór? mój Starościcu?

— Po kilku wizytach, wpadłem na moment na komedią. Na boga, zmiłuj się kasztelanie nie chodź, zginiesz, umrzesz z nudów, te polskie komedie trącą barbarzyństwem języka, grubiaństwem wyrazów, takim brakiem sentymentalności, przepadam za włoską operą, onegdaj dawałem ogromny aplauz tej ładnej Włoszce, boska *Nina* mocno mi się przypatrowała, faworyzuje mnie widocznie; rychtyk, muszę sobie zanotować, jutro będę u jubilera, pomyslę o prezenciku.

Wszystko Krysiu będziesz miała
Byleś tylko sama chciała.

Kończył swoje opowiadanie Staroście zwrotką ulubionej piosnki.

— Jak widzę z relacii twojej dzień dzisiejszy spłynął ci przyjemnie.

— A kochany kasztelan co porabiał? gdzie był?

— Jak ci mówiłem czułem małą niedyspozycię, nie wychodziłem; wieczorem, dopiero odwiedziłem cześnikowę.

— Cześnikowę! *fi donc* kasztelanie, ta dama jest wyśmiana od ludzi zdrowe sentymenta mających. Co za grubiaństwo, trzy lata za mężem i jeszcze męża kocha. Nie czyniłaby tego Cześnikowa gdyby wiedziała że nie tylko parafiaństwa wystrzegać się należy, ale owszem, starać się o wdzięki i wyśmienitości. Przecież każdy o tem przekonany że wdzięki dane od natury, niemogą nigdy pójść w porównanie z temi, które formuje sztuka. Podobnie jak sposób jej postępowania tak i ubiór zdradza jej maxymy cale nie światowe. Na asamblu u szambelaństwa, wystąpiła bez ružu, ha, ha, i w bekieszce z długiemi rękawami, ha, ha, ha, jej rogówka miała kształt dosyć dobry, ale nie dość wielka i szeroka, brylanty piękne ale nie *à la greque* ułożone, ale co najśmieszniejsza na komedii będąc *figurez vous* miała kornet wysoki, a tu od dwoch dni, wszystkie damy już niskie noszą, a na domiar śmieszności, niemiała na twarzy ani jednej muszki, uważ no kasztelanie, ani jednej muszki. Nareszcie do wdzięków należy także używanie wódek i balsamów. Niech z zawiązanemi oczyma wejdę w kompanię samą wonią odgadnę, czyli się znajduję w towarzystwie wybornych osób. Cześnikowa nie używa żadnej wódki, a temsamem zdradza że nie jest osobą wyższego extraktu. Nikt nie słyszał, ażeby skarzyła się kiedy na migrenę, to jeszcze daruję, ale że nie dostaje nigdy spazmów, i waporów tego jej przebaczyć nie mogę, to jest istotne grubiaństwo.

— Nie dziwię się temu (ozwał się kasztelan) wychowana na wsi, prostym sobie postępuje sposobem, ale przykłady dam wykwintnych, z resztą jeźli do edukacii swojej weźmie sobie mentora w Starościcu, ha, ha, ha.

— Wiesz kochany kasztelanie mam receptę dla dam, niezawodny sposób na sprowadzenie spazmów albo i waporów, wczoraj pani krajczyna przysłała do mnie pazia, wie kasztelan co o niej mówią?

— No cóż takiego?

— Mówią że bardzo chodzi około zbawienia swego serca, a cóż to kasztelanie dzisiaj nie gramy w kwindecza? albo w trysetę? albo w króla faraona? wiwat faraon!

— Kasztelan zadzwonił, i zawołał **stolik i karty**, konwersacia ciągnęła się dalej, a tymczasem służba pokojowa zatrudniała się urządzeniem stolika do gry i nalewaniem ponczu do szklanek. Po wypitych kilku szklankach, kasztelan założył bank króla faraona. Staroście wysypał z sakiewki rulion dukatów na stolik i zaczął grę, wybierał sobie asy, króle, damy, zaginał im rożki, łamał na dwoje, ciągle poncz popijając.

Ale fortuna z razu uśmiechająca się jemu, naraz odwróciła się od niego, niewierna przeszła na stronę przeciwnika. Staroście sród swistów i spiewek ostatnim dukatem przyłożył karowego króla. I ostatni dukat potoczył się do złotej z dukatów mogiłki pana bankiera.

— Szklankę ponczu, zawołał staroście.

— Kontynujmy (ozwał się kasztelan) winienem ci rewanż, daję karty, co stawiasz?

— Co stawię? Staroście myślał przez chwilę poczem zdjął z palca pierścionek i rzucił na stolik.

— *Va* w pięciu dukatach, nie kosztowny, ale masz wiedzieć kasztelanie jest to prezencik bogatego serca.

— Prezencik od damy, a taką razą akceptuję, bez żadnej kwestii, *a propos* powiedz mi *mon cher*, czy ładna ta dama.

— Prześliczna dziewczyna.

— Prześliczna, mówisz ha, ha, blondynka? czy brunetka?

— Brunetka, oko czarne, płeć biała, nosek mi-

łuchny, usta malinowe, sama wiosna, a przytem jaki wzrost, jaka rączka, jaki uśmieszek boski.

— *Va* idzie pięć czerwonych złotych (ozwał się kasztelan), starościc przegrał, a kasztelan uradowany na maleńki palec wsunął wygraną obrączkę z miną tryumfatora zatykającego chorągiew na zdobytej wieży.

— Tą wygraną mocno się delektuję, ale jedno jeszcze mój starościcu.

— Jedno jeszcze mój kasztelanie.

— Czy jeszcze gramy?

— Dla dopełnienia garnituru wygraj sobie chusteczkę mojej amantki (dobył chusteczkę). Idzie?

— *Attendez*, muszę się przypatrzyć, czy jest na niej jaka cyferka.

— Całe imie wyhaftowane.

— D u k l a n a wyczytał kasztelan, a wiesz co, *mon cher*, do tej chusteczki się zapalam.

— Więc idzie.

— *Va* w dziesięciu dukatach.

— Idzie.

Starościc przegrał, kasztelan stał się panem chusteczki i zawołał na służbę; d r u g a w a z a p o n c z u.

— Kasztelanie szanowny kawalerze, wygrałeś całą wyprawę mojej panny młodej, teraz stawiam na kartę, pannę młodą!

— Bufonujesz!!

— *Va* idzie, stawiam na assa moją kochankę.

— Bądź ostrożny starościcu, za słowo cię wezmę.

— *Va* w pięździesięciu dukatach (wrzasnął starościc).

— A ja przyjmuję, ale nie, *attendez*, cóż mi przyjdzie z takiej wygranej?

— Dług z kart jestto dług honorowy, w oddaniu przegranej jestem punktualnym. Więc słowo moje, będziesz ją miał, podejmuję się, czy rozumie mnie kasztelan, do sto tysięcy, jasno mówię, *voila* albo, moje pięćdziesiąt dukatów; albo dziewczyna twoja; ciągnij kasztelanie.

— *Va* pięćdziesiąt dukatów, przybił kasztelan i zaczął rozkładać karty na lewo i prawo.

W dni kilka po wyż opisanej scenie, Warszawę płaszczem nocy okrytą, śpiewy strużów nocnych ukołysały do spoczynku. Przycichła wrzawa, wyludniło się miasto, pustemi szyjami ulic przelatywał wiatr, świszczał na zakrętach, hasał na rynku. Niebo jakby zagniewane marszcząc się w czarne chmury, grzmiało, groziło miastu. Już i ciemno było w oknach kamienic i dworków, tylko gdzie niegdzie jeszcze blado migające światełko w oknie, świadczyło, że tu cierpienie chorobą złożonego, albo nocna pohulanka, przydłużona w noc praca, albo zbrodnia gotująca się na wydarcie dobra bliźniemu, wykrada spoczynkowi te chwile, które prawem natury miał sobie zapisane na tablicy czasu.

Jedynasta dobijała godzina na dalekim zegarze, a jeszcze nie schodziła blada światła pozłota z okna Duklany, dziewczyna czuwała jeszcze. Przed stoliczkiem swoim siedząca, trzymała w ręku list otwarty. Była blada, łono biło jej mocno, twarzą odwrócona od St. obrazu, z którego wychylająca się twarz patrzeć się zdawała na dziewczynę, a ona patrzała w ziemię, oddychała niespokojnie. Razem z uderzeniem godziny jedynastej wstąpiła do alkierzyka Reginka jej służebna, wchodziła z cicha na palcach, mimiką rąk, i szeptaniem znać dała, że już czas, furtka od ulicy już otwarta pan kawaler czeka.

A na ulicy do której, dochodził parkan ogrodowy, stała kareta, kilku ludzi przed furtką, między sobą szepczących, w których rozmowie z cicha odbywanej odzywał się głos starościca, Wojciecha, faworyta kamerlokaja kasztelana i dwoch tegoż pana ułanów, gotowych na skinienie przewodniczącemu, tej nocnej wyprawie starościcowi.

— Pst, chłopaki, skryjcie się za parkan, słyszę już widzę, miga coś białego, do furtki się zbliża, to o n a, jest was kilku, uwińcie się żwawo, na krzyki nie zważać; zróbcie swoje a kasztelanowi kłaniajcie się odemnie. — To mówiący starościc odstąpił od furtki, do której ledwie zbliżyła się dziewczyna, już porwana pomimo krzyku i wołania ratunku, znalazła się w karecie, która razem z zdobyczą swoją, błyskawicy lotem, potoczyła się dalej, zniknęła.

Kiedy to się działo na ulicy, Duklana na kolanach przed łóżeczkiem swojem z załamanemi rękoma modliła się gorąco, serce biło jej gwałtownie; z swojego przestrachu długo do siebie przyjść nie mogła, ani podnieść oczu na ścianę, w to miejsce, w którym zawieszony był obraz ś. Jana z Dukli, bo ten obraz, w tej chwili, kiedy przechodziła próg swojego alkierza, dążąc za przewodem służebny, do ogrodu, ku furtce, na spotkanie czekającego na nią kochanka, o godzinie umowionej; t e n ś w i ę t y o b r a z w tej chwili złożył się ze ściany i z łoskotem upadł na podłogę.

Przelękła, tym wypadkiem strwożona dziewczyna stanęła jak wryta na miejscu, a w tem z przyległego pokoju odezwał się głos babki obudzonej łoskotem spadłego obrazu.

Wchodząca do alkierza babka zastała Duklanę na kolanach; wołano na służebnę, szukano ją wszędzie, w domu i w ogrodzie, i nadaremno. Wróciła po północy; a sierota Duklanka od dnia tego, w tym obrazie zawieszonym nad jej łóżkiem, widziała swojego anioła stróża i patrona, któremu ocalenie swoje była winna, pod którego opiekuńczem okiem, żyła odtąd życiem aniołków świątobliwie i wesoło.

Do *

Mario! kiedy mnie braknie do waszego grona,
Kiedy śmierć dłonią z lodu oczy mi przysłoni,
Twoja to pieśń żałoby nademną zadzwoni
I ty jedna zapłaczesz stratą rozżalona!

Bo dla ciebie ostatnie bicie mego łona
I ostatnia ku tobie myśl wdzięczna pogoni,
Za ciebie krzyż ostatni mdlejącej już dłoni
I ostatnie na ustach imię twoje skona.

W krótce się ciało w grobie rozsypie popiołem,
Ale duch mój zaklętem otoczy cię kołem
Aby twoje uczucia, myśli twoje czytać;

A po szczęśliwym wieku spełnionych nadziei,
Kiedy twoja gwiazdeczka zagaśnie z kolei,
U niebios ja nie pierwszy będę ciebie witać.

Celestyn W.........

KILKA SŁÓW

Z POWODU PISEMKA XIĘDZA hr. CHOŁONIEWSKIEGO:

DWA WIECZORY U STAROSCINY OLBROMSKIEJ.

Spokojny wsi mieszkaniec, nie uczony, nie literat, gospodarz, nawet jak to mówią hreczkosiej, pierwszy raz wstępuję w zawód pismiennictwa i wcześnie się trwożę nie o siebie ale o czytelników bardziej dla czytelników, którym na wstępie pragnę się wytłumaczyć, aby brakowi talentu (jakiego od piszącego słusznie się wymaga) prędzej przebaczyć raczyli. Nie piszę dla tego, że mam papier, pióro itd., jak mówi Skarbek w przedmowie jednego ze swoich romansów ani przez pretensią zwiększenia liczby autorów, nie bynajmniej, ale piszę jedynie z popędu uczuć wdzięczności, przyjaźni, a co więcej w obronie prawdy i słuszności, ztąd choć bez talentu śmiało w autorskie wchodzę szranki, bo przez wzgląd na dobrą sprawę prędzej od czytelników dla pióra mego pobłażanie zyskam.

Przed kilką miesiącami przybywszy do jednego z naszych miasteczek (bo miastem trudno mi je nazwać), wstąpiłem do xięgarni, aby w tym składzie cudzych myśli i rozumów zetrzeć rdzę, jaką samotne, gospodarcze życie powoli umysł zaciera. Pytam o co nowego? xięgarz spiesznie podaje mi xiążkę sporą, czytam: Dwa wieczory u starościny Olbromskiej, p. xiędza hr. Chołoniewskiego; z zapałem porywam xiążkę, płacę i biegnę aby się nią nacieszyć. Dwa powody miałem tak żywego zajęcia: raz nazwisko autora, którego z nam z różnych pisemek; drugie wspomnienie starościny Olbromskiej, które mnie do chwil błogich i najmilszych życia, bo chwil szczęsnej młodości na wychowaniu w Krakowie spędzonych przenosiło. Tam, po skończeniu uniwersytetu lat parę jeszcze spędziwszy, miałem wielu znajomych, kilku przyjacioł, ztąd to miejsce stało mi się tak miłe jak miejsce rodzinne, i zawsze o nim chętnie myślę; z całem jego ludności ubóstwem, z jego biedotą, nawet ze swędem siarczanych węgli, kocham go szczerze. Łatwo po tem wyznaniu każdy pojmie czemu z taką radością porwałem xiążkę co mnie do lubego przenosiła Krakowa.

Znałem dobrze starościnę Olbromskę poważną wiekiem i staropolskiemi cnotami z któremi i dawny strój zachowała. Znałem wszystkich jej domowych, przyjacioł, znajomych; uprzejmą, pełną rozumu jej córę starościnę Czacką, co rozmową towarzystwo ożywić i zająć umiała, a swoją słodyczą tak nęciła. I grubego Morsztyna bratańca starościny, potomka możnej niegdyś Krakowa rodziny, w polskim stroju, z podgoloną czupryną, siwym grubym wąsem, co tak lubił o przeszłości gawędzić, i jej obrazy tak dobrze nowym czasom i pokoleniom skreślał; albo wyprostowanego jak struna Gorzkowskiego, przyjaciela domu, starca pełnego rozumu i przyjemności, na którego patrząc jak powoli, poważnie, z założonemi w tył rękami, we fraku dawnej mody, przechadzał się po starych komnatach domu starościny; przenosiłem się do wieków średnich w zamki baronów, margrabiów i marzyłem... niestety, wtedy nie o hreczce tylko!...

Ale i teraz zanadto uniosły mnie marzenia i rozgadałbym się nad miarę chcąc spisywać wszystkich gości starościny, bo bywało tam wiele, a wszyscy tak mili mojej pamięci. Dla tego, powtarzam jeszcze, z radością porwałem xiążkę co mnie w świat ten przenieść miała, przerzucałem nierozcięte kartki, aby zobaczyć i powitać znajomego, i radość moja nie miała granic, kiedy ujrzałem nazwisko Szopowicza. To mój profesor, przyjaciel! przycisnąłem xiążkę do ust i łzą uczciłem pamięć zmarłego.

Na wstępię powiedziałem, że piszę szczególnie w obronie prawdy i słuszności, pisemko więc moje nie krytykę i rozbiór dwoch wieczorów u starościny Olbromskiej (o co zdolniejszych upraszam), ale wykrycie omyłki, czy dobrowolnego błędu autora, w obrazie jednej osoby z wieczorów starościny ma na celu. Tą osobą jest Szopowicz, skreślony tam szyderczo, zabawnie, a zupełnie fałszywie.

Tworzyć sny, marzenia, kreślić obrazy urojone, satyryczne, nawet nadziemskie, wolno zapewne każdej wyobraźni, każdemu autorowi. Wolno nawet kreślić obrazy prawdziwe z towarzystwa, aby nie tając jego wad, leczyć je. Pozwalają sobie piszący wprost i szczególne dotykać indiwidua, złościwie, może nawet i namiętnie. Wolno wiele, wiele piszącym, wiele sobie sami pozwalają, a że dowcipem i wyobraźnią, bawią ogół, ogół im wiele przebacza. Jednak jakkolwiek swywolni i złośliwi, przystrajają jakoś obrazy, aby jawnie nie poznano, z kogo wzięto; wystawiają na jaw duszę, a ciała kryją w domina. Ztąd jeśli w tych obrazach jest przysada, czasem mimo woli i coś nieprawdy się wmięsza, lub zarzut za dotkliwy; mają obronę przed krzykiem obrażonych: Nie wymieniam osoby, to utwor wyobraźni! na co każdy zamilknie, bo domysł lub pozór nie jest prawdą jeszcze. Ale jeśli autor wymienia osoby i fałszywie je maluje, zdaje mi się że wtedy pozwala sobie nad miarę, nawet z własnem ubliżeniem: bo o prawdę ktoś się upomni, a nieprawda zawsze jest przykrym zarzutem.

Mimo szczerego szacunku tak dla osoby jak i talentów autora, nie mogłem przemilczeć błędu jego w obrazie zmarłego przed pięciu laty Szopowicza. Zdawało się może autorowi wieczorów, że w naszych prowinciach, gdzie romanse zagraniczne i powieści najlepszy kurs mają, dzieje profesora akademii krak. nikomu pewnie nie będą znane, może więc śmiało fałszywym jego obrazem bawić czytających i dogodzić swemu humorystycznemu uniesieniu. Ale nie ma dzięki bogu w naszym kraju miejsc tak odległych i dzikich, gdzieby nie umiano cenić nauk i uczonych; nie ma ludzi, coby dla cnoty czci nie znali. Dla tego pojąć nie mogę, dla czego szanowny autor wieczorów jakiegoś swojej wyobraźni gburowatoopryskliwego profesora koniecznie nazwał Szopowiczem, co zawsze grzeczny, uprzejmy i miły nie pośmiewisko ale szacunek wzniecał. Jeśli opis odwidzin starościny i widzianych tam osób z pamięci był kreślony, mogła autora pamięć nazwiska omylić; czyż w takim razie nie lepiej było zastąpić je literą X niżli szanownego profesora robić dziwakiem.

Każdy człowiek uczony zasługuje na szacunek, bo dla dobra powszechnego pracuje, ale ten co naukę i pracę swoją poświęca mozolnemu kształceniu młodzieży, kształcąc ją na synów ojczyzny i obywateli, jeszcze większego godzien uszanowania. Szopowicz

całe życie poświęcił temu zawodowi i ucząc młodzież zaszczepiał w jej serca prawe uczucia, szlachetne zasady cnoty, prawości, jakie ich godnymi i użytecznymi ludźmi zrobić miały. Jako publiczny profesor nie był tym nudnym, z urzędu uczącym nauczycielem, co bez względu na uczniów jedynie pragnie zbyć się godziny lekcii, ale był profesorem z powołania, z zamiłowania swego obowiązku, gorliwy o dobro uczniów, z którymi jak ojciec, jak dobry przyjaciel postępował. Zapewne że nauka i prawość nie chronią od wad i tej opryskliwej gburowatości, w jaką autor wieczorów ubrał Szopowicza; owszem zwykle ludzie uczeni zajęci jedynie naukami, zaniedbaniem ceremonialnych pretensij i przepisów towarzyskich zasługują nieraz na pośmiewisko tych nawet, co ich nauki ocenić i uszanować umieją. Śmieszność ta nie ubliża ich zasługom ani im szkodzi. Gdyby w istocie tak śmiesznym był Szopowicz, jak go autor maluje, byłbym z zapałem jaki dawne szkolne wspomnienia obudzać zwykły, wykrzyknął: ach to on, mój gniewny, ponury profesor! Ale kiedy ten profesor, ten śmieszek wieczorów p. starościny, w niczem ani na jotę, zacząwszy od niegrzeczności, aż do ogromnej tabakiery, nie jest podobny do prawdziwego Szopowicza, uprzedzającego grzecznością, zniewalającego słodyczą; nie mogłem przenieść tej obelgi, wyrządzonej zmarłemu; nieudolne pióro, ale pióro co prawdę pisać umie, wziąłem do ręki, aby autorowi wieczorów i jego licznym zapewne czytelnikom wykryć tę krzywdzącą omyłkę i bez obrazy autora powiedzieć mu, że jeśli się w tym obrazie omylił, to błąd zbyt gruby, a jeśli (co pewniejsza) utwor humorystycznej wyobraźni swojej nazwał Szopowiczem, to nadużył wolności autorskiej, przeszedł miarę humorystycznego rozweselenia.

W numerze 10 z roku 1840, Przyjaciela ludu, skreślony jest zawód naukowego życia Szopowicza. Wieleby do tego nekrelogu dodać potrzeba, ale i z tego skromnego obrazu poznać można zasługi uczonego, co choć w naszych niegłośnych prowinciach, znane są przecie uczonym, pamiętne i szanowne licznej młodzieży z akademii krakowskiej i wszystkim tym, co go znali.

Żałuję, że niemam w ręku papierów, z którychbym chronologicznie mógł skreślić nekrolog Szopowicza, ale to co pamięć z jego opowiadań zatrzymała, wystarczy dla mojej sprawy.

Szopowicz z akademii wileńskiej, mając lat ośmnaście z poleceniami przychylnego sobie jej kanclerza Chreptowicza, wysłany był do Krakowa na kandydata (to jest sposobiącego się na nauczyciela szkół publicznych). Po kilku latach nauki wysłany na profesora szkół warszawskich, znajomy z Krakowa Hugonowi Kołłątajowi, podkanclerzemu koronnemu, częstym w domu jego bywając gościem, umiał sobie zjednać życzliwą przyjaźń tego męża. Tam poznał się z wielu uczonymi owej epoki ludźmi, a wzywany do ich towarzystwa mógł wiele korzystać i korzystał tak w umysłowem jak powierzchownem ukształceniu. Elementarne towarzystwo wezwało go do swego grona. Zamiłowanie i gorliwość w pełnieniu zobowiązań się dla towarzystwa, były powodem, że ze zbytku pracy młody profesor tak silnie na ból oczów zachorował, iż nie był w stanie poświęcać się dłużej swemu zawodowi. Towarzystwo z żalem żegnając swego współpracownika i chcąc okazać ile go ceniło, choc początkującemu dopiero w tym zawodzie, i bez wysługi lat dostatecznych, wyznaczyło emerytalną pensią. Lekarze nakazywali słabemu wypoczynek i wiejskie powietrze. Na odgłos tej rady Szopowicz od różnych osób miłe odebrał zaprosiny: Stanisław Potocki minister oświecenia; można pani Humieniecka i inni uprzejmie wzywali go do siebie. Przyjął wezwanie hrabiego Prota Potockiego do Machnówki na Ukrainę; raz że go wabiły nieznane tej prowincii okolice i wiązała przyjaźń z uczonym x. Ossowskim, przyjacielem hr. Potockiego. Zdaje się, że prócz rangi, potrzeba było zalet osobistych aby, w młodym wieku, zyskać u ludzi poważnych takie współczucie i zajęcie.

Nie pomnę wiele lat strawił w tym przyjaznym domu, wiem, że po kilkuletniej we Włoszech podróży, czas jakiś mieszkał w jednej z tutejszych okolic a potem przeniósł się aż w województwo sandomierskie, gdzie w wiejskiem ustroniu zajmował się wychowaniem swoich i kilku obywatelskich synów. Tam jeśli się niemylę w 1810 lub 1811 roku wypracował rozprawę; Uwagi nad abecadłem polskiem, w której pierwszy dowiódł potrzebę i sposób używania spółgłoski *j*, i takową jako członek przesłał towarzystwu przyjaciół nauk:, warszaw: którąto rozprawę Feliński, wówczas urzędnik towarzystwa, spekulant nietylko gospodarski jak pisze Kraszewski, ale i literacki, na swoją korzyść obrócił i sławę pożytecznego *j* sobie przywłaszczył. Rozprawa ta Szopowicza w Krakowie r. 1827 drukowana, z przyłączonemi listami Osińskiego sekretarza towarzystwa i datą lat, najlepiej tę literacką kradzież wykrywa,

Prócz mozolnych prac koło wychowania młodzieży, Szopowicz nie samej tylko matematyki, ale wszystkich nauk miłośnik i wielbiciel pracował wiele, i ciągłą z wielu uczonymi prowadził korespondencią, szczególnie zaś z Janem Śniadeckim aż do jego śmierci ją utrzymywał. Zamyślał on ten zbiór szacownych listów Śniadeckiego złożyć do biblioteki uniwersytetu krakowskiego, jako najwięcej spraw tej matki nauk w Polsce, tyczącej się. Wzywany na urząd rektora szkół wojewódzkich krakowskich, na profesora matematyki wyższej w akademii krakowskiej, odmówił przyjęcia tych godności, bo dla nich byłby musiał rozwiązać szkołę swoją, przerwać piękne uczniów postępy i lube rodziców nadzieje, a chciał je doprowadzić do kresu. Wytrwał w tym zamiarze i z uczniami swemi co już na uniwersytet postepowali przyjechał do Krakowa r. 1818.

W 1819 objął katedrę matematyki niższej w uniwersytecie; 1833 został emerytem, a 1839 umarł, z żalem i szacunkiem powszechnym.

Jeżeli autor wieczorów w tych latach widział Szopowicza u starościny Olbromskiej, co łatwo być mogło bo tam bywał jak wszędzie, często zapraszany i przyjmowany zawsze mile, nie mógł go widzieć nauczycielem Maryni Czackiej, bo Szopowicz jako profesor uniwersytetu niedawał u nikogo lekcij, a od początku 1800 aż do 1818 r. mieszkając ciągle na wsi, nie mógł takiem nauczycielstwem w Krakowie się zajmować; dla tego jeszcze raz z zadziwieniem zapytam, co mogło spowodować autora do nazwania swojej

śmiesznej figury Szopowiczem? Jeżeli słyszał o nim tylko, to nie mógł słyszeć inaczej mówiących jak z uszanowaniem, z uwielbieniem. Jako akademik był on z tem tkliwem przywiązaniem do dobra, sławy i opinii akademii krakowskiej, jakiem się tylko dawnych dziejów poważni nauczyciele szczycić mogli i najlepiej to uczucie wyraził w liście do swej córki, zostawszy emerytem, gdy napisał: Kochałem naszą starą szkołę ze czcią, miłością, jak dobry syn szacowną matkę; kochałem ją jak moi starzy dawni poprzednicy; nie byłem tylko szczęśliwy ich godłem się poszczycić, tojest umrzeć w katedrze. Jak profesor łagodny, cierpliwy, posiadał szczególny dar nauczania, który miłość nauki i ludzkości w nim wydoskonaliła. Wymowny zwięzłe i dobrze się tłómacząc był łatwo zrozumiany, a przecie często odzywał się do swych uczniów: »Powiedźcie proszę, czy mnie rozumiecie? jeśli nie, powtórzę.« Był on uczniów swych przyjacielem, ale wzajem szczerą ich posiadał życzliwość, rzetelny szacunek. Jako człowiek odznaczał się cnotami prawdziwego chrześcianina, pełnego uczuć ludzkości, prawego w czynach, stałego w prawości; słowem był człowiekiem bez zarzutu, bez zmazy, godnym naśladowania i poszanowania wiecznego. Te szacowne dary duszy, i spokój co im towarzyszy, na czole pogodą, na twarzy miłą słodyczą jaśniały. Na pierwsze wejrzenie obudzał on jakąś lubość, przenikał serca szacunkiem, ufnością, a niewymuszona uprzejmość, szczera chęć zrobienia grzeczności lub przysługi, zniewalały mu serca wszystkich.

Najmilszą życia chwilą nazwał Szopowicz tę, w której mógł komu dobrze zrobić, i robił też wiele własną pracą, staraniem, wstawieniem się, w czem ani trudu ani czasu nie żałował. Zazdroszczę, mówił często, możnym ich majątku dla tego jedynie, że mogą wiele robić dobrego, gdyby tylko chcieli. O jestto wielka prawdziwa roskosz, otrzeć łzę nieszczęśliwego, pocieszyć w utrapieniu.

Bez przesądów i uprzedzeń do czasów dawnych zwyczajnych ludziom starym, Szopowicz jak prawdziwy przyjaciel światła, postępował z czasem i w jego nowościach umiał wybierać smakowite owoce; gruntowny w zasadach i zdaniach nie narzucał ich nikomu; ale też przez pochlebstwo nie ustępował, jak widział niesłuszność, a sam bez zarzutu wierny prawdzie, śmiało stawał w jej obronie, i mówić się jej nie lękał. Miły w pożyciu, słodki w obejściu, uniosł do grobu żal, szacunek, i cześć wszystkich co go znali, a szlachetna dusza wyrwawszy się z więzów ciała, na zmarłych nawet ustach słodki uśmiech spokoju zostawiła. Senat krakowski oceniając zasługi uczonego i cnoty człowieka, po jego zgonie do pozostałej wdowy przesłał żądanie, aby zwłoki jego w grobie akademickiego kościoła złożone były. Cześć im! cześć pamięci cnotliwego!... Taki jest krótki rys, jakim był Szopowicz w istocie. Jakimże jest w wieczorach starościny? Ponurym jak mówi autor, zawsze ponury, oburkliwy, gniewny, gburowaty, słowem dziwaczny bakałarz, jakich nam komedia dla śmiechu na scenie wystawia. W tym obrazie prócz zupełnego fałszu przebija jeszcze zabobon arystokracii, która uczonym nie przyznawała poloru ani znajomości salonowej etykiety.

Data 18.. w wieczorach położona powinna był ten błąd usunąć; w tym wieku arystokraciia była tylko wyrazem, a uczeni znali świat i nie obudzali pośmiewiska. Szopowicz przy trafnej znajomości ludzi, bez ubliżenia swej powadzę miał ten polor i uprzejmość w obejściu, co wzajemną uprzejmość i poważanie jedna. Nie mówił zapewne wymyślnym akcentem francuzkim, chociaż gruntownie umiał ten język, i inne, ani się z nim popisywał, bo nad cudzoziemczyznę przenosił ojczystą mowę, a dla modnej elegancii niechciał jej szpecić makaronizmem. Nie nosił ogromnej tabakiery ani okularów, bo tych używał tylko przy pracy w swoim skromnym pokoiku. Miał dość rozumu i zdrowego zdania, aby rzucone pytanie o zwyczaju i obyczaju bez rozprawy Tejtana zozwiązać, a nadto przyzwoitości i ukształcenia, aby się uburzać na podaną wodę z cukrem. Ta anekdota arystokratycznego kamerdynera i gburowatego bakałarza, choć dla uzupełnienia śmieszności dodana, nie może do XIX wieku należeć. Ubliżył autor całemu wreszcie towarzystwu pani starościny, przyznającemu damie wielkie zalety umysłu, zachowanie cnót staropolskich; czyż się z niemi zgodzi, ta wolność wnuczki w szydzeniu z człowieka starego i nauczyciela? Gdyby nawet miłość babki zrobiła ją zbyt pobłażającą, nigdy zacna p. Czacka, u której uprzejmość zawsze z serca pochodziła, która umiała cenić ludzi, niebyłaby tego dozwoliła; wreszcie jej Marynia co tak trudne zadania matematyczne pojmowała, musiała być w wieku w którym wiedzieć mogła jakie wesołości granice przyzwoitość zakreśla, dość że była córką pani Czackiej, aby tego być pewnym.

Uśmiechający się ze spuszczonemi oczyma i układną minką Sołtykowicz, mimo całej galanterii, kwestii o zwyczaju i obyczaju niebyłby tak lekko pominął, bo z gruntownym rozumem przy dowcipie, który od szyderstwa niezawsze był wolny, lubił wchodzić w szranki najtrudniejszych rozpraw jako chlubne dla siebie miejsce popisu. Szkoda że umarł, byłby umiał i na zawiłą rozprawę Tejtana jasno odpowiedzieć. Ja broniąc tylko sprawy jednego, jak mogłem choć bez autorskiego talentu, ale szczerze z dobrą chęcią dopełniłem tego świętego obowiązku; jeżelim się za nadto rozgadał, proszę mi przebaczyć: dawne miłe wspomnienia tak łatwo w gadulstwo wprowadzają. Jeśli byłem może mniej grzeczny, to z żalu, z żalu za mym szanownym przyjacielem, bo jeżeli humorystyczna wyobraźnia autora tak obfita w fantazie które w rozprawie Tejtana ułożyła, co tak walne zwiodła bitwy, tyle klęsk, zamieszania, trwogi narobiła co umiała królowę oświaty na twardy grzbiet obrzydliwego kameleoparda wsadzić, itd; czemuż jeszcze do tej babilońskiej wieży za odźwiernego niedodała jakiego smoka lub czarownicę, nie zaś poczciwego i szanownego oświaty przyjaciela?...

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.